

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

7

(Ciąg dalszy).

— Jak pan śmiesz z taką zuchwałością zbliżać się do mnie — rzekła Elwira, kipiąca gniewem, miazdząca spojrzeniem piorunującym.

— Tam grozi pani śmierć — mówił Schwerdtner z wysiłkiem, bo ze zmęczenia tchu mu brakowało. Tam granica lodów, a już nawet na tem miejscu, zagraża pani niebezpieczeństwo.

— Zabraniam panu opiekować się moją osobą, pańskie obowiązki ograniczają się do udzielania nauk memu brata.

— Moje nauczycielskie obowiązki spełniam, ucząc Augusta, a w tej chwili spełniam obowiązek człowieka, który chce ocalić życie bliźniego.

Kapryśny temperament baronówny, miał w sobie dziesięć razy więcej przekory, niż jej miewała kobiety. Dziwna to siła tej przekory kobiecej: podniecona, niekiedy nawet na zgubę się narazi, byle nie ustąpić, byle na swoim postawić. Przekora kobiety bywa niekiedy nie tylko zgubą jej własną, ale i nieszczęściem tych, których kobieta kochać powinna i rzeczywiście kocha; możnaby powiedzieć, że w kobiecie przekora silniejszą jest od miłości.

I dopiero przed chwilą Elwira z lubością myślała o królewiczu z baśni, odwracała się od milionów Snovarda, zachwycana dzielnością postaci młodego doktora, a już w tej chwili kipi ku niemu złością, nienawidzi go, nawet pogardza nim. Dlaczego? Bo jej samowolę tamuje, bo jej samowoli hołdu nie składa.

— Ustąp pan natychmiast, rozkazuję panu — zawołała wyniosło.

— Nie usłucham rozkazu — odpowiedział spokojnie.

Chciała się wymknąć, ale Schwerdtner ujął ją silnie za rękę i zatrzymał.

— Ani kroku dalej; pani musi wrócić.

— Jakiem prawem ośmielasz się pan zmuszać mnie do tego?

— Prawem silniejszego, jeżeli pani nie uznaje prawa człowieka, co bliźniemu chce życie ocalić.

— To bezczelność.

— Nie pani. To obowiązek.

Lód zaczyna trzeszczeć, pękać; woda z potoków, spływająca pod zwierciadło lodu, wytryska szczelinami, zalewa łyżwy. Doktor chwyta w mgnieniu oka Elwirę, unosi ją i puszcza się ku torowi. W tej chwili zjawia się August, pędzący ostatkiem sił. Byli już w miejscu bezpiecznym. Schwerdtner puszcza ostrożnie Elwirę, stawia na lodzie.

— Augustcie, proszę teraz podać rękę siostrze — rzekł bez tchu prawie, wyprostował się, zaczerpnął powietrza i pot otarł z twarzy.

Elwira stała spokojna, łagodna, cicha, jakby upokorzona, czy wdzięczna i spoglądała nieśmiało na brata i Schwerdtnera. Poraz pierwszy w życiu doznała tego, że ktoś ośmielił się jej sprzeciwić, że zdołał przełamać jej zachcenia. Zdumiona była, onieśmielona. Jakiś uczciwy głos z głębi duszy podszeptował jej, że ma obowiązek wdzięczności i uznania dla tego dzielnego człowieka, co własne naraził życie, aby ją ocalić. I tego głosu słuchała, nic tego głosu nie stłumiło w tej chwili.

We troje puscili się teraz ku właściwemu torowi, spotykając po drodze gromady ciekawych, co zdaleka przypatrywały się owej pogoni i podziwiała dzielność Schwerdtnera.

Tłum wzrastał, spojrzenia były coraz natrętniejsze, zaczynały się i pytania natrętne. Elwira skierowała się ku wyjściu; August i Schwerdtner odprowadziwszy ją wrócili na lód, witani oklaskami publiczności.

Elwira wsiała do powozu i w jednej chwili ucichł ów pocziwy głos, z głębi serca o wdzięczności szepcący, a z całą siłą odezwał się ów drugi, co jej zachwalał miliony, życie wystawne, zadowolenie pychy, rozkosz zbierania hołdów i budzenie podziwu. Oczy jej zaiskrzyły się gniewem, szarpała zarekawek, tupała nogami o dno powozu, zagryzała wargi, pragnęła upokorzenia Schwerdtnera. Postanowiła sobie zażądać stanowczo, aby go ojciec natychmiast oddalił.

— Albo on, albo ja — powtarzała sobie, jakby chciała zapamiętać, co ma ojcu powiedzieć.

Powóz zatrzymał się przed pałacem. Wyskoczyła gniewna, wzburzona, trzasnęła drzwiami, opryskliwie rzuciła lokajowi łyżwy i futrzaną za-

rtutkę i szybko weszła do głównego salonu, bo tędy było najbliżej do gabinetu ojca.

W salonie był Snovard. Spostrzegłszy Elwirę, zerwał się i podszedł ku niej na przywitanie.

— Czekam na barona. Powiedziano mi, że za kwadrans powróci. Teraz z największą radością chciałbym czekać i godzinę całą, skoro pani... Ale, co się pani stało? Pomieszanie, czy niezadowolenie? Może jaki wypadek, lub towarzystwo moje...

— Wracam ze ślizgawki bardzo zmęczona — odpowiedziała Elwira, siłąc się na spokój.

— Dziś? w takim dniu, który dla motłochu się zostawia, dziś pani używała ślizgawki?

— Dla oryginalności i przez ciekawość — odpowiedziała z roztargnieniem. Ale już minęło zmęczenie. Korzystam ze sposobności, że pana widzę. Oświadczyłem się panu o moją rękę, winnam panu odpowiedź. Propozycję pańską przyjmuję, oto moja ręka.

Snovardowi błysnęły oczy, jakby dokonał spekulacji, dającej mu zyski milionowe, pochwycił rękę Elwiry i pocałował. Ona uśmiechnęła się takim nieokreślonym uśmiechem, jakiego chyba żaden jeszcze malarz nie pochwycił pędzlem. Oddała mu rękę, ale w tej chwili ogarnął ją taki chaos myśli, uczuć, wzruszeń, uniesień, że i Snovarda nie widziała i pocałunku jego nie czuła. Nadszedł baron, Elwira znikła ze salonu, Snovard zamyślił się, uśmiechnął i pomyślał, że pewnie już grozi katastrofa baronowi, skoro Elwira zmusiła się do tak prędkiego oddania mu swojej ręki.

IX.

Każdej soboty przychodził Snovard do biura jeszcze przed samym wieczorem i załatwiał korespondencje, rozpatrywał czynności, na poniedziałek przygotowane i wydawał potrzebne dyspozycje. Pracowano też co sobotę niekiedy nawet do późnej godziny.

W najbliższą sobotę, po owej niedzieli, w którą przez Elwirę został przyjęty, Snovard nie pokazał się w biurze od południa prawie, bo zaproszony na obiad do barona, wcześniej się tam udał. Było to przyjęcie uroczyste, na cześć przyszłego zięcia. Opuszczając biuro zarządził wszystko jak najdokładniej z właściwą sobie ścisłością, a personal, przywykły do bezwzględного posłuszeństwa, tem pilniej i tem prędzej kończył wszystkie roboty, że nie było szefa. Do godziny dziewiętej wieczorem w biurach pracowano, poczem porochochodzili się wszyscy, światła pogaszono i portyer zamknął bramę.

Skoro tylko się uciszyło i portyer zamknął drzwi od swego mieszkania, wysunęły się z kąta sieni, z poza schodów, dwie postacie i cicho, ostrożnie, bosemi nogami przeszły przez długość sieni na dziedziniec domu. Tutaj podsunęły się pod okno piwniczne.

Jedną z tych postaci był mężczyzna niski, zwinny, o ruchach przypominających kota, drugą zaś był wysoki, silny człowiek, otulony płaszczem, pod którym coś ciężkiego dźwigał. Zatrzymali się przed oknem piwnicznym; mniejszy wyjął zręcznie przepiłowaną kratę i wsunął się do piwnicy, a po chwili dał znak towarzyszowi, aby mu rzucił trzymane pod płaszczem narzędzia, poczem i ów towarzysz wsunął się do piwnicy. Wyższy z tych dwóch stanął teraz przy ścianie pod oknem, mniejszy wyskoczył mu na ramiona, założył przepiłowaną kratę tak jak była, poczem obydwaj przesuwali się ostrożnie po pod ścianą do drugiej piwnicy, która już okna nie miała; tu zamknawszy drzwi za sobą, zaświecili latarnię, zupełnie bezpiecznie, że światła nikt nie dostrzeże. Przy świetle poznać było można, że niższym był kapitan Murle, a drugim czeladnik ślusarski Wilus.

— A co? — szepnął kapitan — udało mi się dobrze. Przez trzy dni weszylem każdy kąt, przez trzy noce piłowałem kratę i udało się. Nie bardzo strzegą Snovarda, skoro ja sobie bez ceremonii spacerowałem po nockach, a nikt mnie tu nie wytropił.

— Szczęście nasze, że portyer był dziś pijany. Żeby nie to, byłby on nas zwał pod schodami, zanim bramę zamknął — rzekł Wilus. Co to za drzwi?

— Od składu papieru — tedy musimy pójść dalej.

Ślusarz przypatrzył się drzwiom uważnie, pomacał zamki i zabrał się zaraz do roboty; powykręcał śruby od zawiasów, drzwi podważył i w kilka minut byli już w składzie papieru. Tutaj wyciągnął kapitan Murle z kieszeni kawałek papieru i ze ślusarzem zaczęli się w nim bacznie

rozpatrywać. Był to wcale dokładny plan sytuacyjny, wszystkich prawie lokali w suterenach i na piętrze.

Nie daremnie mulat, czyli pan kapitan Murle, przez trzy noce dokonywał badań. Rozejrzawszy się w planie przystąpili do jednej ze ścian, która się na prawo od drzwi znajdowała. Wilus przypatrywał się bacznie, pukał w ścianę, pokiwał głową i rzekł cokolwiek zakłopotany:

— Ciężka robota, zajmie całą noc, byle nas tylko rano nie złowili.

— Ależ tu rano nikogo nie będzie w całym domu, bo to niedziela.

— A czy wiesz pewnie, że w niedzielę nikt do biura nie przychodzi?

— Bądź spokojny o to, już ja się o wszystkim dobrze wywiedziałem.

— A to dalejże do tańca, aby skończyć o świecie...

To rzekłszy Wilus powydobywał z worka ogromny zapas narzędzi złodziejskich, najrozmaitszego rodzaju, a wszystkie były najprzedniejszej jakości, bo świdry stalowe wgrzyzały się w mur cicho, tak szybko, jakby nie kamienie wierciły, ale nadprućniałe drzewo. Wilus to wiercił, to podwładał stalową sztabą cegły i kamienie, a kapitan mu przyświecał.

Po godzinie jał się roboty kapitan, a Wilus odpoczywał i krzepił się wiktuałami, których spory zapas ze sobą przyniesli. Nic dziwnego; wybrali się przecież na długą wyprawę, bo dzieło, w sobotę zaczęte, mieli ukończyć aż w poniedziałek nad ranem, korzystając z tego, że w niedzielę pusto w całym domu i nikt do biura nie przychodzi. Wilus był mistrzem w takich sprawach i z góry już obliczył, wiele to czasu taka robota zabierze. Tak pracowali naprzemian, bez przerwy, posilając się często, aż w samej rzeczy o świecie dokonali zadania, bo otwór w murze był już tak wielki, że mogli wygodnie przesunąć się tamtędy. W mgnieniu oka znaleźli się po drugiej stronie przewierconego muru, u samych stóp kręconych schodów, które wiodły do gabinetu bankiera. Mulat stapał teraz po nich naprzód, a za nim zdążał Wilus, dźwigając worek z narzędziami i prowiantem.

Gdy stanęli przed drzwiami gabinetu, Wilus zbadał je i skrzywił się cokolwiek. Były one pokryte grubą blachą żelazną i miały trzy mocne zamki.

— Niech go piorun trzaśnie — mruknął Wilus. Ta bestya amerykańska niema miłosierdzia nad biednym człowiekiem. Będzie tu praca wściekła...

Wyjął Wilus cały pęk wytrychów i używał jednego po drugim, żeby zamki otworzyć, ale wszelkie wysilenia były daremne, bo zamki były tak sztuczne, że żaden wytrych do nich się nie nadawał. Wtedy pochwycił świdry stalowe i najmniejszym z nich zaczął wiercić w pobliżu zamku. Po kilku minutach przewiercił dziurę, poczem przyłożył świder o kilka centymetrów niżej. Wszystkie trzy zamki otoczył dokoła przewierconymi dziurami, a potem, ująwszy stalową piłkę, przecinał nią blachę od jednego otworu do drugiego. Tym sposobem zamki tkwiły w oprawie drzwi, a drzwi same otwarły się teraz bez trudu i towarzysze weszli do gabinetu Snovarda. Ucieszyli się bardzo, zastawszy pospuszczane story, bo tem swobodniej pracować mogli.

Wdzierało się do pokoju światło przedświt, latarnia była niepotrzebna.

W gabinecie była kasa żelazna; ślusarz zbadał ją dokładnie i bardzo się skrzywił.

— To dyabelska sztuka, skrzynka najnowsze-go systemu; można cały dzień do niej pukać, a nie otworzy się.

— A cóż zrobimy?

— Możnaby ją tylko prochem rozsadzić, ale hałas byłby za wielki, no i wszystkoby przepadło, bo byśmy się dostali do lochu.

— Ty Wilus, ty mistrz nad mistrze, ty byś nie poradził takiemu pudełku?

— To właśnie, że takiego pudełka nie otwierałem jeszcze nigdy. Ale poco bając, wezmę się do roboty.

Dowiódł też Wilus, że był naprawdę mistrzem nad mistrze, bo wywiercił i wypiłował w trzech stalowych ścianach kasy takie otwory, że przez nie można było wygodnie wszystko ze środka wydobyć. Ale robota trwała dzień cały. Już i prowiantów zabrakło, i wódka się wysuszyła, a Wilus piłował i wiercił, wiercił i piłował, aż kości mu trzeszczały. Nareszcie w niedzielę wieczorem odniósł zwycięstwo.

Gdy kapitan otwory zobaczył, oczy zabłyśły